

Jacek Wojciechowski

## Stan rozbieżności

Nauka o bibliotekarstwie – Library Science, w Polsce nazywana bibliotekoznawstwem – wygenerowała się z bibliotecznej praktyki i tej praktyce miała/ma posłużyć. Identyczny jest zresztą rodowód wszystkich nauk stosowanych. Mają mianowicie zapewnić praktykom teoretyczne podstawy i główne koncepcje funkcjonowania oraz rozwoju, a czasem również podsunąć pomysły, jak unikać zagrożeń. Oto więc naczelny sens istnienia tych nauk, od zoologii po stomatologię. Nawet bowiem wrywanie zębów tygrysowi, obok odwagi i umiejętności, wymaga podstaw koncepcyjnych oraz przesłanek filozoficznych.

### Oścień smutku

Prawda jest taka, że każda działalność praktyczna, bez podstaw teoretycznych, bez przemyślanych i zobjektywizowanych wskazówek oraz podpowieści – nawet jeżeli nie da się ich wdrożyć natychmiast – jest chaotyczna, coraz mniej produktywna i smutna. Jak Czerwony Kapturek, bez wilka i babci.

Otóż kłopot w tym, że polska nauka o bibliotekarstwie, mimo że ciągle istnieje, żadnych ważnych idei praktykom nie oferuje, nie prowadzi też wiarygodnych badań rozpoznawczych i wygląda na to, że od bibliotekarstwa ucieka daleko oraz na boki. A kanałami ucieczki są ogólne tematy organizacyjne, zarządcze, marketingowe lub prawne, z tekstami wtórnymi, więc odgrzewanymi jak sznycle w barze Na Stawach.

Doskonale wiem (ponieważ tkwię w tym od dawna), że to nic nowego: w Polsce tak było od zarania, w mniejszym albo w większym stopniu. Ale teraz ten stopień okazuje się największy. Między bibliotekoznawstwem a bibliotekarstwem utrwalił się stan wzmożonej rozbieżności.

Na świecie nie jest ten rozbrat aż taki – ewentualnie z wyjątkiem Rosji (ciągle to nasze braterstwo!) – lecz skłamałbym mówiąc, że panuje pełna kompatybilność i harmonia. Także w angloamerykańskim bibliotekoznawstwie niektórzy najlepiej znają biblioteczne czytelnie i biblioteczne wychodki. Jeżeli natomiast bywa leiej, to dlatego, że niektórzy bibliotekoznawcy są równocześnie bibliotekarzami.

To nie jest kwestia indywidualnych chęci lub niechęci, jednostkowych postaw, lub osobistych inklinacji bądź fobii. Za długo to trwa. Przyczyny są obiektywne, systemowe, zakłete w wielu obszarach rzeczywistości. Dlatego ten smutek jest jak oścień: nie da się go usunąć bez bólu.

### Smutki ościenne

Nie jest tak, żeby nauka o bibliotece istniała w próżni, ani żeby była w swoim smutku osamotniona. Jest jeszcze kilka współistniejących dyscyplin, krzyżujących się w znacznym stopniu wzajemnie i też oddalonych od praktyki oraz uwikłanych w kłopoty egzystencjalne.

Z drugiej strony zaś: pozostają odcięte (nie można znać się na wszystkim) od kilku i n n y c h dyscyplin, bez których trudno analizować własne obszary poznawcze. Mam na myśli co najmniej psychologię komunikacji, psychologię myślenia i neuronaukę, socjologię komunikowania, semiologię, informatykę... Tego w pojedynkę opanować nie można, a chętnych z innych obszarów do kooperacji nie widać.

Bliska nauce o bibliotece, z częściowo wspólnym polem poznawczym, była nauka o książce, czyli księgoznawstwo, a więc bibliologia. Dzisiaj, wobec zróżnicowania form komunikacji w bibliotece, ta bliskość oddaliła się i zdystansowała. Chociaż nastąpił paradoks: nagle bibliotekoznawstwo zaczęto nazywać bibliologią – bo nazwa jest krótsza i lepiej brzmi. A że sens nie ma sensu? Z nazwami to my mamy jeden wielki cyrk.

Rzeczywista nauka o książce też trochę cierpiąta na rozbrat z praktyką (ale nie do końca) i raczej niechętnie wtrącała się oraz wtrąca w sferę proble-

mów czysto bibliotecznych. Smutek pokrewny bierze się zaś stąd, że dziś księgoznawców jest mało i nie wygląda, żeby chcieli dać odpór bezwzględowej gadaninie o zagładzie pisma. To już raczej lingwiści, głównie zagraniczni.

Nieco inaczej kształtuje się sytuacja nauki o informacji, którą – jak się okazuje – można uprawiać niezależnie od bibliotekarstwa. Ale też są okazałe obszary wspólne i być może z tego bierze się zadawniony konflikt, który faluje, lecz nie wygasa. Z jednej strony: są informatolodzy, dla których związek z bibliotekarstwem jest niepożądany. Z drugiej: guru światowego bibliotekarstwa, Michael Gorman, sugerował złośliwie, że nauka o informacji to też jest nauka o bibliotece, ale uprawiana przez mężczyzn. No i cała ta burza w szklance wody, związana ze zmianą kolejności słów w nazwach naszych instytutów...

Nie demonizuję, ale ten pozorny bądź prawdziwy rozdźwięk, także zalatuje smutkiem. Biblioteki nie mogą wszak nie rozpowszechniać informacji, z kolei instytucji w pełni informacyjnych, poza bibliotekami, nie ma. Jesteśmy na siebie skazani, jak piwo i kufel. Kiedyś były takie osoby, które potrafiły łączyć wiedzę z obu, a nawet z tych trzech dyscyplin, ale teraz już ich prawie nie ma. To chyba zresztą jest niemożliwe. Tyle, że w instytutach kształcenia bibliotekarzy, przewaga informatologów wśród kadry dydaktycznej, jest miazdząca i musi to mieć określone skutki.

Nauka o informacji, w kontekście elektronicznego boomu, z całą pewnością uświadomiła praktykom konieczność radykalnej zmiany bibliotecznej oferty informacyjnej i jej systemowych podstaw, a przy okazji: także nieuchronność elektronicznej bibliotecznych procesów. Niestety, nie wszystkim i to, co niekiedy obserwuje się w bibliotecznej praktyce, to horror.

Kiedy jednak trzeba stworzyć k o n k r e t n e koncepcje dla bibliotecznej rzeczywistości informacyjnej, nagle ujawnia się szokująca indolencja. Wtedy z pomocą przychodzą inni praktycy, z własnym doświadczeniem i przemyśleniami, lecz takich jest mniej niż mało. Ewentualne porady, jak w określonych warunkach zorganizować biblioteczne służby informacyjne, a zwłaszcza informacyjne usługi, jeśli nawet są (rzadko), to zwykle albo ogólnikowe, albo naiwne. Tak więc i tego obszaru nie ominął stan rozbieżności idei z praktyką.

## **Wiedzieć, że się wie**

Nasze bibliotekarstwo jest jeszcze bardziej sfatygowane, niż kolejnictwo, poczta, albo służ-

ba zdrowia, więc wszyscy praktycy skupiają się na doraźnym przetrwaniu. Wobec tego niejedną zapyta, po co nam teoretyczne porady akurat teraz. Choremu na wrzody nie cytuje się Kanta.

Otóż jednak potrzeba jest. Żeby wiedzieć, czego chcieć i do czego dążyć. Żeby wiedzieć, czego unikać i na co nie zwracać uwagi. Żeby skupić się na kilku pomysłach podstawowych i elementarnych ideach rozwoju. I żeby wygenerować ogólnoprofesjonalną świadomość: wiedzieć, że się wie.

Ale u nas takich podpowiedzi nie ma. Każdy praktyk sam zachodzi więc w swoją własną głowę i albo coś znajdzie, wykombinuje, obmyśli, albo machnie ręką i stanie się przetrwalnikiem. To taki lub taka, co chce przetrwać ewentualnie do jutra, do pojutrze, a jak się uda to jeszcze przez kilka najbliższych tygodni. Potem zaś to jakoś be, lub może nie be.

Owszem, są koncepcje zagraniczne, lecz o nich wie mało kto. Każda obca książka kosztuje trzy stowy lub więcej, kogo na to stać, każde koncepcyjne czasopismo, też elektroniczne, kosztuje tysiące, za darmo jest tylko wolny internet, ale tam są jeno bzdety. Pominę już, że jeszcze trzeba znać języki, bo i tak plotę bez sensu. Nawet wszak w języku najbliższym, czytelnictwo bibliotekarzy (to i owo do przeczytania jest) kształtuje się niemal równie fatalnie, jak czytelnictwo dziennikarzy albo polityków.

W związku z tym wołanie o napływ rodzimych pomysłów może wydawać się idiotyczne, lecz w końcu nie wszyscy wzięliśmy już rozbrat z czytaniem. A jeżeli coś rozumnego przeczyta jeden, drugi, trzeci – albo: jedna, druga, trzecia – to nagle może nastąpić eksplozja idei. Trzeba jednak, żeby to coś było.

Otóż na razie nie widzę na takie COŚ szans i na tym polega dramat. Brakuje coś-twórców, coś-generatorów, coś-rodników, nie szykuje się więc żadna bulwersująca myśl innowacyjna, bo również wśród znawców sytuacja jest zła. Przykładowo: gdyby nagle przyszło zespolonymi siłami instytutów dokonać poważnej ekspertyzy w zakresie bibliotecznej praktyki, to nie udźwigniemy, choćby każdy się natęzał. Taki to jest ciężar.

## **Dlaczego**

Powodów jest kilka i każdy ma swoją obiektywną genezę i swój destrukcyjny wpływ. Nic nie stało się nagle, znienacka, ani dlatego, że ktoś tak chciał.

Polskie bibliotekoznawstwo nigdy nie było naukową potęgą – szanowano jeno bibliografów, ale to zanim wykluła się odrębna nauka o bibliotece – i opierało się na bibliotekarzach-praktykach. Przez całe dziesięciolecie były raptem (na zmianę) cztery, trzy lub dwa instytuty (katedry, specjalności) bibliotekoznawcze na cały kraj, więc tyle co nic i nie pamiętam, żeby miały do praktyki rzeczywiste odniesienia, chociaż wydanie w swoim czasie tomu *Bibliotekarstwo naukowe*, było wyczynem.

I oto nagle zaczęły powstawać nowe zakłady, katedry, z czasem instytuty, określane wtedy jako „bibliotekoznawcze” bez najmniejszego obciachu. Na krótko zaroilo się tam od praktyków, bo ktoś musiał prowadzić zajęcia, ale wkrótce został przywrócony ogólnouczelniany porządek.

Tryb mianowicie funkcjonowania uczelni wykarczował tę bierność nieomal doszczętnie i tylko nieliczni z nas nie dali się wyciąć, co zresztą świadczy o zaniku wyobraźni. Inaczej niż w innych krajach, nie zdołaliśmy nigdy b e z p o s r e d n i o wprzęgnąć bibliotek w procesy dydaktyczne, tym innym też zresztą udaje się to coraz rzadziej i wygląda na to, że kiedyś trzeba będzie powiedzieć: zdechł pies. Odnowiła się hermetyzacja, ludzie z bibliotek nie pasują do uczelnianych procesów naukowo-dydaktycznych, ludzie z instytutów zaś nie przystają świadomością do bibliotecznej praktyki. Małżeństwo nie zostało więc skonsumowane – jak piszą w bardzo nieprzyzwyczajonych powieściach.

Trudność polega też na tym, że w strukturze uczelni liczą się przede wszystkim opinie i głosy osób co najmniej z habilitacją. Ilu jest w Polsce habilitowanych bibliotekoznawców z dłuuuuuugą praktyką biblioteczną? Troje czy pięcioro? Proszę policzyć, ale bez oszukiwania.

Bo też podwójne funkcjonowanie uczelniano-biblioteczne to egzystencja koszmarna; akurat coś o tym wiem. Bez tego zaś ani rusz. Pomysły żeby to jakoś zorganizować po ludzku, bywają różne, ale pragmatyka uczelniana wyklucza – wydawałoby się: najprostszą – możliwość oddelegowania młodych pracowników nauki na staż w bibliotece, nie krótszy niż rok. W dodatku – na staż do ciężkiej roboty, nie do dekoracji. No to jest jak jest.

Stąd ta izolacja, rozdźwięk, bezradność oraz hermetyczne rozdzielanie uwagi. **O ważnych**

**sprawach bibliotek, w imieniu instytutów inb, przez ostatnie lata nie zająknął się prawie nikt. I nie mogło być inaczej, skoro wzajemny styk w gruncie rzeczy nie istnieje.**

Rzecz również w tym, że te nasze instytuty i katedry, same z siebie, niewiele mogą wygenerować, ratując się głównie konferencjami. Jak cię nie stać na inwencję, to przygotuj konferencję. Ranga w skali wewnątrzuczelnianej przeważnie imponująca nie jest, przebić się do środków trudniej niż trudno, a i duma pisanina/gadanina o rzekomej zagładzie bibliotekarstwa, też nam nie przysparza przychylności rektorów ani dziekanów. „Nasi” sami strzelają nam w stopę.

Od dawna oceniałem wnioski o granty naukowe i pamiętam przynajmniej trzy rewelacyjne projekty autentycznie bibliotekoznawcze, lecz żaden nie został później akceptowany. Wygrały nijakie, ale z dyscyplin lepiej postrzeganych. No to jak i za co prowadzić badania i wspomagać biblioteki? Może i jest rozbrat między bibliotekoznawstwem i bibliotekarstwem, lecz pod jednym względem nie różnimy się w ogóle: inni jednakowo mają nas w nosie.

## Pogonić kota

Ale czasami przychodzi refleksja, że tak wcale nie musi być. Wszak bowiem dla wszystkich nauk stosowanych złączenie koncepcji z praktyką, oraz oparcie praktyki na teoretycznych koncepcjach, jest podstawą egzystencji, a także warunkiem rozwoju. Inaczej one nie byłyby stosowane, tylko niestosowne.

Niektórym to się udaje. Weźmy stomatologię: każdy stomatolog, nawet profesor, potrafi wyrwać zęby. Wiem, bo jeden taki, z czystej przyjaźni, wyrwał mi od razu trzy, zamiast jednego. Otóż chodzi mi o to, że umiał.

W bibliotekoznawstwie to ja wprawdzie nie wierzę w pełnowymiarowy i t r w a ł y ożenek teorii z praktyką, ale jakaś kopulacja wydaje się całkiem możliwa. Byle (prawie) wszyscy chcieli tego samego. Na początek uświadamiając sobie od nowa, kogo i po co kształcimy: to może być wcale ożywcza refleksja.

Krok pierwszy mógłby polegać na tym, żeby z bibliotek instytutów (katedr) inb stworzyć nowoczesny, modelowy (więc nie byle jaki) warsztat dydaktyczno-praktyczny. Z optymalnym wyposażeniem i bajerami, o jakich boję się nawet pomyśleć. Przy wysiłku, grantach oraz



umizgach do rektorów i dziekanów, w dłuższej perspektywie czasowej nie jest to nieprawdopodobne. A potem należałoby jeszcze taką bibliotekę wmontować a k t y w n i e w procesy dydaktyczne. Przy zapowiadanej liberalizacji kanonów programowych, coś takiego może udałoby się wdrożyć. A to byłoby jak fotel stomatologiczny dla przyszłego dentysty, albo jak uzi dla adepta pedagogiki.

To prawda, że staram się lansować komasację małych bibliotek instytutowych w uczelniach – w większe, co najmniej wydziałowe. Ale to jest konieczny wyjątek. Bez wyjątków, życie straciłoby urok.

Krok drugi jest znacznie trudniejszy, lecz łudzę się, że może wykonalny. Chodzi mianowicie o to, że trzeba pogonić kota niektórym praktykom i wymusić na nich intensywną pracę koncepcyjną, powiedzmy że naukową. Szczerze mówiąc, żadnego innego, r e a l n e g o sposobu nie widzę.

Jest grono osób (liczniejsze, niż można sądzić), kierujących bibliotekami albo w bibliotekach pracujących, które mogłyby poradzić sobie z godziwą i sensowną habilitacją w ciągu 24 miesięcy. Czemu więc tego nie robią? Trochę z lenistwa, trochę z zasiedzenia, trochę z niewiary, że to ma sens, ale przede wszystkim z obawy o własne ego. I głównie to właśnie trzeba przełamać: olej swoje ego, koleżanko i kolego. Habilitacja, tak jak każdy zabieg inwazyjny, jest istotnie mieszaniną wysiłku, wstydu i przeciążającej pracy umysłowej. Ale potem: cóż za ulga. I jaki pożytek dla nauki oraz dla praktyki!

Zatem do roboty, Panie i Panowie. Dość już tego bezproduktywnego czytania książek i tarzania się w nieciekawej rzeczywistości. Jutro i pojutrze ewentualnie Wy, a potem ewentualnie następni: trzeba wydeptać taką ścieżkę, aż z tego zrobi się zwyczaj. Konieczny. Nie powiem, że Ojczyzna wzywa, bo to byłoby bezcelnie kłamliwe, ale profesja trąbi na alarm.

*Prof. zw. dr hab. Jacek Wojciechowski jest kierownikiem Katedry Bibliotekarstwa Instytutu Informatyki i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.*